

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

29 Kilku chłopów ze Skowronkowic zdjęło czapki w ukłon. Pisarz, młody, zgrabny mężczyzna, ze świeżą i dość przystojną, ale dziwnie beczelną i zuchwałą twarzą, uchylił lekko swojej sportowej czapeczki, niedbale odpowiadając na pozdrowienie.

Grinszpan, na widok pisarza i Sojkowej, wyskoczył zza bufetu i podbiegł ku wchodzącym.

— Jakie goście!... Co za goście!... Czerwoną kredą w kominie taki dzień zapisać... Moje uszanowanie panu sekretarzowi! Moje uszanowanie pani Sojkowej! Może państwo pozwolą do gabinetu?... Tutaj gorąco, zaduch...

Cały w uśmiechach i ukłonach prowadził ich przez izbę. Pisarz palił papierosa z taką miną, która świadczyła wymownie, że się czuje nieskończenie wyższym ponad wszystkich obecnych. Franka stąpała dumnie i hardo podnosiła głowę w wielkim kapeluszu z piórem i kwiatami, pyszniła się swoją spódnicą, układaną w modne fałdy i zakietem z wytłaczanego pluszu. Idąc, głośno stuknęła o podłogę nowymi, jasnożółtymi półbutkami na wysokich obcasach.

Kilkanaście par ciekawych oczu ściagało tę parę.

— Jak się to Grinszpan kole Franki kręci, jak się to jej kłania!

— Bo chce, żeby grunt jego teściowi sprzedał! Niech przedo... będzie ją miał później za co!...

— Pewnikiem za dziewczę ją zgodzi, żeby mu w szabas w piecu paliła!...

— Skończy ta Franka, oj, skończy!... Nie daj, Panie Boże, nikomu pocziwemu takiego końca!

— Ale i ten pisarz... Taki pan, a na złe namawia!...

— Zwyczajnie, jak chłop!

— Ale, że go do wojska nie wzięli! Taki młody, zdrowy chłop.

— Nie wicie? Przecie on „lekramowany“, jako niby urzędnik we gminie potrzebny jest.

— A mój, to mnie nie był potrzebny? A nikt go ta nie „lekramował“!

Grinszpan wraz z pisarzem i Franką zniknęli poza drzwiami izby, szumnie nazwanej „gabinetem“. Był to rodzaj alkierza, przeznaczonego dla wybranych gości. Stała tam jakaś olbrzymia szafa, stół, nakryty zmiętym, poplamionym obrusem i czarna, ceratowa, wygnieciona kanapa, z której tu i ówdzie wylazło włosie.

— Co państwo sobie życzą? — zapytał z najmilszym uśmiechem Grinszpan.

— Dwie herbaty — oświadczył skromnie pisarz, ale Franka dysponowała dalej:

— Do herbaty rumu, ale, żeby był mocny i pachnący, dwa piwa, dwa gulasze, no i wódki. Tylko czy jest co porządnego? Żeby nie była prosta gorzałka! — dodała, usiłując przybrać minę i ton osoby, nie nawykłej do zadawania się byle czem.

— Dla państwa się znajdzie... musi się znaleźć! Ja sam należę i przyniosę... coś „extrafajnego“.

Omknął językiem i wyszedł. Za chwilę powrócił z tacą, na której stała karafeczka, pełna wódki i trzy kieliszki.

— To jest śliwówka „echt“. Co to za śliwówka!... Takiej sam pan starosta nie pije!... I ja za to nie chcę żadne pieniądze... to jest mój poczęstunek dla godne goście, dla godne osoby...

— No, w twoje ręce, panie Grinszpan! — zawołał pisarz, nalewając wódkę do kieliszków.

— Na zdrowie!

Wypili raz, drugi i trzeci, przyczem żyd bardzo zrecznie wylał swoje kieliszki pod stół. Wódka była istotnie dobra i mocna. Oczy pisarza zaczynały błyszczeć, a Franka dostała mocnych rumieńców.

Grinszpan przysiadł się i nawiązał rozmowę.

— Pani Sojkowa, ja pani potrzebuje pogratiłowa!

— A czego?

— Ja słyszał, co pani robi doskonały interes, pierwsza klasa interes!

— Niby jaki?

— Jak to, jaki?... Pani podobno za dobre pieniądze, za bardzo dobre pieniądze sprzedaje tę starą chałupę i ten grunt, co w niego więcej roboty i pieniędzy wlezie, jak z niego pożytku jest.

— To ta jeszcze niepewna rzecz — odparła jakimś wahającym głosem Sojkowa.

— Co niepewna? Dlaczego niepewna? To jest bardzo pewny, to jest złoty interes!... Jego trzeba chwycić, bo on może uciec!

— Kiedy to, widzi pan Grinszpan, są dzieci...

— Co to znaczy dzieci? Jak pani te dzieci na gruncie wyżywić nie może, to pani sprzedać musi! Czy one mają z głodu umierać i pani z nimi?... A dobry adwokat, mądry mecynas, to na wszystko radę znajdzie...

— Tak, tak! Dobry adwokat dużo może, wszystko wykreślić umie, na tę albo inną stronę — wtrącił sentencyonalnie pisarz, chwytając wzrokiem porozumiewawcze mrugnięcie Grinszpana.

Franka milczała, nagle zaszepiona jakaś. Może lęk ją zdjął przed tą przyszłością niepewną, bez własnego dachu, bez kawałka własnej ziemi. Może budził się w niej zdrowy chłopski instynkt i ostrzegał...

Grinszpan zdawał się przeczuwać jej myśli i wahania, bo ruchliwa twarz jego drgała silniej, a żywa gestykulacja stawała się więcej nerwową.

Tymczasem chuda dziewczyna z pretensjonalną grzywką i z cerą pełną krost i liszaj przyniosła piwo, gorący gulasz, herbatę i rum.

Pisarz zachęcał do picia; wkrótce wypróżniono kufel, a na ich miejsce pojawiły się świeże, pełne.

Franka piła piwo, potem rum, wódkę, a potem znowu piwo. Alkohol działał na nią. Odzyskała humor. Śmiała się wrzaskliwie, błyskając białymi zębami z poza grubych, czerwonych warg, rzucała ordynarne dowcipy, zaczynała śpiewać operetkową aryę, z której знаła tylko dwie pierwsze zwrotki, poufale trącała pisarza:

— No, pijże pan! Pij pan, mówię!.. Ja płacę, ja funduję! Czy mnie to nie stać na to!

— Coby miało nie być stać — podchwycił natychmiast Grinszpan — a jeszcze jak pani ten złoty interes zrobi, to będzie stać dwa razy tyle!... Pani potrzebuje dużo pieniędzy! Czy to dla takie młode, ładne, delikatne kobite los jest siedzieć w chałupie między chamami?... Co pani tam wysiedzi? Będzie z nędzą! Czy ja dobrze mówię, panie sekretarz?

— Słowo honoru, Grinszpan słusznie mówi. Co za przyjemność męczyć się ciągle z krowami, ze świnią i z gnojem. Fel!...

— Widzi pani, co pan sekretarz jest tej samej myśli, co i ja!... Pani to może sobie poszukać męża pomiędzy „eliganckie“, edukowane panowie, a nie żadne Kuby i Bartki! Taka ładna kobite!...

— Grinszpan ma rację, to nie dla takiej kobiety! Zasiłowane komplementy silniej jeszcze upajały kobietę, niż wódka i piwo. Bujne jej piersi falowały silnie, w oczach migotały niezdrowe błyski, wargi drżały febrycznie.

A Grinszpan ciągnął dalej:

— Te wiejskie baby, te głupie baby, to ja wiem, one będą panią Sojkową odmawiać, straszyć... a dla czego? Bo one są zajdrośne! One chcą, żeby pani Sojkowa sobie los nie poprawiła, żeby nie miała lepiej, jak one!...

— A niedoczekanie ich! — Franka gruchnęła pięścią w stół, aż podskoczyły i brzęknęły szklanki i talerze. — Co im do mnie? Co zechcę ze swoim, to zrobię! Właśnie, że przedam!... Ma ten adwokat przyjeżdżać, to niech przyjeżdża i interes robi! Na mojem będzie! Dla mnie świat otwarty!

— To jest mądre mówienie! To jest złote słowo! Te głupie chamy, to się wściekną ze złości!...

— A niech się ta wściekną i jak psy wyć zaczęją! — wołała rozochociona Franka. — Panie, pij pan!...

Łokciem wsparła się na kratkowanej kamizelce pisarza, który coraz bliżej się ku niej przysuwał. Grinszpan dyskretnie wysunął się z alkierza, starannie zamykając drzwi za sobą.

— — — — —

— A to ci kobiecko!

— I to już na pewne?

— A jakże! Ten adwokat ma jutro przyjechać, będą robić „rozporządzenie“ o dzieci, a później „kontrak“!...

— Mój Boże! Żeby to choć swojemu sprzedała! Ale takiemu żydowi, jak Wajkrat, coby ostatnią skórę z człowieka zdarł!

— Kie ona u niego w kieszeni po szyję siedzi... Pożyczło, pożyczło, ona traciła i zbierało się!...

— Tak to, mojąście, jak kto sobie pozwoli, to zeżre i z dwóch roli!

— Ale to jeszcze nie wszystkie nowiny... Pono Sobusiacka także grunt sprzedawała będzie jakimusi Czeconowi czy Miemcowi! Ten sam adwokat jej go naraił i jenteres poprowadzi!...

— A jak ona może sprzedać, kie mąż w niewoli?

— Może, bo grunt na nią przepisany!

— To się tu „niepilaków“ nabierel!... Rychło poczekać, to i nas wszystkich wygnają!

— Zaroz! Dałabym się wygnąć! Niech mnie ino kto spróbuje ruszyć!...

— Ale co to za adwokat taki? Pewnikiem też żyd!

— Gadają, co nie, co bardzo godny pan i katolik!...

— I z Wajkratem trzymo?

— Ano, musi mu Wajkrat dobrze smarować, a nie wiecie to, że powiadają i pierwszy ham, jak sam!

— Oj, te dzieci, te biedne dzieci! Ino mi tych żal!...

— Nad kim się tak uzalacie, gosposiu? — zapytała Hela Lidzińska, która, przechodząc właśnie przez sieni, słyszała rozmowę Dorulowej z sąsiadką.

— A to, proszę pani nauczycielki, ta Franka Sojkowa, ta pijaczka, „lofer“, utratnica, grunt i chałupę sprzedawała będzie!

— Komu?

— A temu Wajkratowi, co karcnę trzymo i jajkami i masłem i wszelemjakim towarem handluje! Temu zdzirowi, co se każe po osiem szóstek płacić za liter nafty!

— A cóż z dziećmi? Przecie tam jest ich część!

— Jutro ma przyjechać umyślnie z Krakowa adwokat i taki „rozporządzenie“ zrobić, że Franka dzieci obżywić i okryć nimoże i przez to sprzedać musi!... Ale bo to prawda? Przecie zasiłek bierze i gruntu jest szmat dobrej ziemi i to przy samym, przy samutkim gościńcu! Żeby to ona zrobić chciała, nie pić i grosza nie rozpuszczać, toby się i śpiewający wyżywiła i jeszcze jaką koronę do kasy zaniosła!

— Zawsze była nicpotem dziewucha... Jak jej czternaście roków było, to na kawalirów patrzyła. Obraża Boska! Wiadomo, matka do roboty nie nagałowała, nie przykarciała, jak potrza, bo i sama rychtyk tako była... Za dolami świeci górką, jako matka, tako córka — dodała, sypiąca jak z rękawa przysłowiami sąsiadka.

— Pójdą te dzieciśka na marne, pójdą! Zjedzą je wszy po cudzych kątach, a pani matka będzie se w Krakowie albo ka indzi „panować“...

— Skończy się to panowanie, ino niech ten cent przeździe!... Będzie się po służbach żydowskich potyrać, albo i co gorszego ją potka! Od tyczka do rzemyczka, od rzemyczka do koniczka, potkała go szubieniczka! Najgorzej zacząć!...

— Jaktó! I nikt temu nie przeszkodzi? — zawołała Hela. — Taki piękny kawał ziemi w obce ręce i to jeszcze takiego wydrwigrosza, lichwiarza, wyzyskiwacza! I dzieci!... Ależ ją powinno się ogłosić marnotrawną, wziąć pod kuratelę!

— Ino kto to robi i jak?

— Wystarczy kilku świadków, którzy zaprzy sięgną!

Dorulowa wzruszyła ramionami.

— E, ktoby ta z Franką zadziroił! Ktoby się narażo!ł! Ady każdemu spokój miły!... To dyabeł, nie baba! Chałupę jeszcze podpalić zdole, albo kamieniem dziecko ubić! A dy, wicie, ona Liskowej Jewce, za to, że jom przy ludziach napominała i karciała, to głowę butelką rozbiła!

— Może to i lepiej, że se ze wsi pódzie, bo tako parszywo owca inne zaraża! Już się i Sobusiacka na nią podala!... Już ona ziakiety se sprawio, po szynkach pije, z kawalirami się wodzi i grunt sprzedawać chce tym jakisi Czechom czy Miemcom!

— To jeszcze jedna?

— A jeszcze jedna, panienko! Ten sam adwokat jenteres prowadzi! Muszą mu ta smarować, muszą, kie mu się chce umyślnie z Krakowa zjeżdżać!

— Podły, niegodziwy człowiek! — oburzała się Hela, a oczy jej uniesieniem błyszczały. — Takiemu warto choć prawdę w oczy powiedzieć!

— Kto mu ta powie — rzekła posępnie Dorulowa. — Zle się dzieje, złe... Jakiesi złe idzie na naszą wieś!

— Nie gadojcież próżniaków... Zle się dzieje takim, co ich wiejski chleb w ząbki kłuje, a w palicach do roboty lenia mają! Takim nierobiśkom, jak Franka, Wikta Sobusiacka... Kto się Boga boi, do roboty wstaje, ten się ni diabłowi, ni biedzie daje! Mało się to Wajkrat koło Kopkowej natańczył, mało ją nastraszył, a wygroi, wicie, na fujorce! Ino nie trza dawać smaku, a trza bić do saku! Ot, co!...

— — — — —

— Ojciec tutaj? Jakim sposobem?

— Najprostszym w świecie! Przyjechałem po cięgiem.

— Oczywiście, ale...

— Cóż cię to tak dziwi? Chciałem cię odwiedzić!

— Tak, umyślnie?...

— Cóżby w tem było tak nadzwyczajnego? Chcieliśmy wiedzieć, jak się urządziła!... Matka jest trochę niespokojna... nerwowa... Przywiozłem ci od niej paczkę... Jakies fatalaszki kobiece!...

Hela nieufnie spogląda na ojczyma, który idzie obok niej, ostrożnie stawiając nogi w błyszczących amerykańskich butach po lepkiem błocie gościńca. Dziewczyna nie dowierza tej nagle zbudzonej troskliwości. Dziwi ją też ton niezwyklej uprzejmości i ży-